

MARCIN RUSNAK

DIABLY Z SAINTS

GENIUS
CREATIONS

*It's the same in any language
A brother is a brother if there's one thing I know
It's the same in any language
Wherever you go*

I Nine, Same in Any Language

*Even a tramp like me, no matter what happens, I know there's
a brother somewhere who'll never refuse me a bowl of soup
Tuco*

Mojemu bratu

SPIS TREŚCI

DIABŁY Z SAINTS

- 4 -

WAMPIR Z ABINGTON

- 135 -

DZIECI Z BULL-EHR-BYNN

- 284 -

DIABŁY Z SAINTS

I

Heksameron żółtych traw, 33 rok po Upadku Republiki

Łódka wróciła nad ranem i wszyscy uznali to za zły znak.

To Zack zauważył ją jako pierwszy. Wyszedł z chaty i pobiegł za krzewy zdziczałego agrestu, żeby ulżyć pęcherzowi. Nocne niebo wisiało nisko jak płótno namiotu, blade ślepie księżycy spozierało z okrutną obojętnością. Chłodne powietrze lgnęło do skóry, niskie fale szemrały cicho, łagodnie.

Chłopak opuścił koszulę nocną i już miał wracać, kiedy na brzegu dostrzegł jakiś kształt. Zbliżył się o krok, i o kolejny. Nie musiał iść dalej – było jeszcze ciemno, ale Zack miał doskonały wzrok, wszyscy tak mówili.

Pobiegł do chaty, podszedł do łóżka rodziców. Ojciec pochrapywał, ale matka natychmiast otworzyła oczy i podniosła głowę.

– Co się stało? – Mary Ann głos miała trzeźwy, czujny, podszyty niepokojem. Chłopak pomyślał, że może wcale nie spała.

– Łódź wróciła.

– Znowu?

– Sam widziałem. Wyrzuciło ją na brzeg.

– Dobrze. Idź do łóżka.

Zack nie zamierzał posłuchać. W pośpiechu założył spodnie i koszulę i czekał, aż matka obudzi ojca. Od Willega Cobsona czuć było bimbrem Franklinów; otaczało go niewidoczne, cierpkie, mdłe halo trawionego alkoholu.

Kiedy mężczyzna usłyszał, co się stało, wstał, mamrocząc, i również zaczął się ubierać. Odchrząknął, dwukrot-

nie strzepnął palcami lewej dłoni w geście chroniącym przed złem.

– Chcesz iść ze mną? – zapytał syna.

Wyszli z chaty i ruszyli w stronę plaży. Hałas musiał obudzić Falstaffa, bo pies wyskoczył z budy, szczeknął dwa razy i pobiegł za swymi panami.

Łódka wciąż tam była: zwyczajna dłubanka z namokłego tarmasowego drewna, lekko przechylona na bok. Pora przypływu minęła i fale ledwie muskały wąską rufę.

Falstaff dopadł do łodzi jako pierwszy, oparł łapy na burcie i zajął do środka. Szczeknął kilkakrotnie, nie zwracając uwagi na upomnienia, bez przekonania machnął ogonem. Później przekrzywił łeb i popatrzył w stronę Cobsonów.

– Zaczekaj tutaj – polecił Willem.

Zack zatrzymał się posłusznie i patrzył, jak ojciec zbliża się do dłubanki. Szedł wolno, nerwowo zaciskał pięści. Wyglądał, jakby wstrzymywał oddech. Zostały mu trzy kroki, już tylko dwa...

Stanął przy łódce. Milczał, a sekundy ciągnęły się, długie i napięte niby żyłka, na której końcu szarpie się szczupak.

Ojciec przykucnął i pogłaskał Falstaffa po kosmatym łbie.

– Chodź, Zack – powiedział. Brzmiał, jakby nie miał siły zaczerpnąć powietrza.

Potworna rzecz, ta nadzieja, pomyślał chłopak.

Chwilę później stał u boku ojca i psa, nad łódką, w której trzy dni wcześniej złożyli ciało jego brata.

Alan Cobson wciąż leżał w środku, martwy. Wyglądał jak skóra zdjęta z Zacka. Wysoki i szczupły, z bladą twarzą nakrapianą pojedynczymi piegami. Wilgotne rude włosy przykleiły mu się do czoła. Sina, pozbawiona życia dłoń wysunęła się spod cienkiego całunu, jakby poszukiwała czyjegoś dotyku.

Gdzieś za ich plecami skrzypnęły otwierane drzwi. Najpierw na kamieniach, później na piasku zachrzęściły buty.

– Wróciła? – rozległ się pomruk pana Franklina.
– Jak widać.
– To już drugi raz, Will. Zły znak.
– Wiem, Steffe. Wiem. Pomożesz mi ją wypchnąć?
– Teraz?
– Teraz – potwierdził Cobson. – Nie chcę, żeby Mary Ann musiała na nią patrzeć.

Mężczyźni rozebrali się, obrócili dłubankę dziobem ku falom i wepchnęli ją z powrotem do morza. Sunęli z nią coraz głębiej i głębiej, aż woda sięgnęła im po pachy. Wtedy zawrócili. Wyszli na plażę i ociekając zimną wodą, patrzyli, jak drewniana łupina stopniowo niknie w ciemności.

– Do trzech razy sztuka, co, Will? – mruknął pan Franklin.

Zack podejrzewał, że kto inny dostałby za takie słowa w zęby, jednak ojciec tylko uśmiechnął się smutno i skinął głową. Odburknął coś, a Steffe Franklin odpowiedział wesołym parsknięciem i poszedł do siebie.

– Chodź, Zack – powiedział Willem Cobson.

– Jeszcze ją widzę. Zaczekam.

Ojciec wzruszył ramionami i powlókł się do chaty. Zack usiadł na chłodnym piasku, a Falstaff legł obok i złożył mordę na nodze chłopca. Lato dobiegało końca i noce znów robiły się chłodne. Przyjemnie było czuć na boku gorące psie cielsko, wpleść palce w poskręcaną sierść.

Chłopak siedział tam tak długo, aż lódź i dla niego stała się niewidoczna. Wtedy podniósł się, otrzepał spodnie z piasku. Czuł się dziwnie pusty. Jak dłubanka, którą fale niosły na otwarte morze.

– Żegnaj, braciszku – mruknął, bo coś mu podpowiało, że tak trzeba. Żegnał się już po raz trzeci i za każdym razem wydawało się to tak samo trudne.

Cóż, do trzech razy sztuka, jak powiedział pan Franklin.

Zamierzał zawołać Falstaffa i wrócić do domu, kiedy pies nagle poderwał się z miejsca i ujadając, podbiegł kawałek w stronę krańca wioski. Cobsonowie żyli prawie na samym skraju, dalej mieszkali tylko Franklinowie i stara Bessie Walton.

– Co się stało, Fal? – zapytał Zack, podchodząc bliżej. Z psiego gardła dobywał się teraz stłumiony warkot. – Co jest?

Zatrzymał się, wyteżył wzrok. Falstaff nie należał do wielkich psów, ale nie znał strachu – rok wcześniej rzucił się na kuguara, który zabłąkał się w okolice wioski. Walczyłby wtedy do ostatniej kropli krwi, gdyby syn Stocktonów nie przepędził wielkiego kota strzałem ze strzelby.

A jednak teraz nie poszedł w mrok. Stał w miejscu, warcząc wściekle, choć z każdą chwilą warkot stawał się cichszy. Kiedy psia łapa drgnęła i postąpiła w tył, Zack poczuł, że jeżą mu się włoski na karku. Nie czekał dłużej.

– Fal, do nogi! – rozkazał, po czym ruszył w stronę chaty. Z początku starał się iść powoli, raz po raz zerkając przez ramię, ale z każdym kolejnym krokiem przyspieszał i nic na to nie mógł poradzić. Wiedział, że coś tam jest, że coś czai się w mroku... Czuł na sobie czyjeś spojrzenie tak wyraźnie jak nigdy wcześniej. Ramiona pokryła mu gęsia skórka.

Ostatnich kilkanaście kroków przebiegł. Wpadł do chaty, po czym zamknął drzwi za sobą i Falstaffem. Pospiesznie, roztrzęsionymi rękoma odnalazł żelazną zasuwę i przesunął ją szarpnięciem. Odetchnął z ulgą, kiedy rygiel wskoczył na miejsce. W domu byli bezpieczni. Cokolwiek by się działo, tu ojciec ich obroni.

– Zack? – usłyszał zaniepokojony głos matki.

– To ja, mamó.

– Wszystko w porządku?

– Tak – skłamał. Rodzice mieli wystarczająco dużo zmartwień. – Tak, dobranoc.

Wrócił na posłanie. Od śmierci Alana siennik wydawał się przeraźliwie duży i pusty. Zack szeptem przywołał Falstaffa, po czym przytulił się do niego i okrył ich obydwu kocem. Trząsał się, jakby spędził na dworze całą noc.

Do świtu nie zmrużył oka. Chłonał psie ciepło, wsłuchiwał się w nocną ciszę i ze strachem myślał o czymś nieznanym i potwornym, co czaiło się w mroku.

2

Tego dnia, kiedy umarł Alan, bawili się na wydmach nieopodał wioski, wśród skał, piachu i przysychających kęp wiechlicy. Dzień był pochmurny, ale ciepły, a wietrzejące głązy osłaniały ich od słabych podmuchów o zapachu i smaku soli.

Zjawili się wszyscy: Cobsonowie, troje Cottonów, mały Frankie Knicks, jego kuzynka Jekkie oraz kulawy Pete Robinson. Jekkie przyniosła wiatrówkę ojca, a zasapany Pete z dumą pokazał wszystkim nowe, nieotwarte jeszcze pudełko z amunicją – drobnymi ołowianymi kuleczkami.

– Ale będzie strzelania! – ucieszył się Frankie. Miał jedenaście lat i nie licząc Sue Cotton drepczącej krok w krok za starszymi braćmi, był w tej gromadce najmłodszy. – Skąd je masz?

Zazwyczaj pociski do wiatrówki kupowali na garście, kiedy tylko trafił im się jakiś grosz. Pierwszy raz widzieli nienaruszony karton z nadrukiem informującym, że amunicja została odlana w zakładzie Pickletona i Synów w Lion's Head.

– Kupiłem. Jak z tatkiem przedwcześniej pojechaliliśmy do miasta.

– Ale skąd żeś miał szmal?

– Tatko opchnął takiemu jednemu facetowi ten obrazek, co go na plaży znalazłem. Odpalił mi połowę forsy.

Morze wyrzucało na brzeg najróżniejsze rzeczy, ale przeważnie pozbawione wartości. Obrazek znaleziony przez Pete'a okazał się chlubnym wyjątkiem: wykonany był na cienkiej metalowej płytce i przedstawiał kobietę

w białej sukience, kapeluszu i rękawiczkach po łokcie, z rozłożonym parasolem.

– Ile tego tam jest? – zainteresował się najstarszy w ich gronie, blisko piętnastoletni Madden Cotton. Z trojga rodzeństwa tylko mała Sue nauczyła się jako tako czytać i pisać.

– Okrągłe dwa tysiące.

– Dwa tysiące? – poniósł się szept pełen zachwytu i niedowierzania.

– Okrągłutkie.

– No to do dzieła – powiedział Alan. – Ustawiamy kukły.

Bawili się, jak zwykle, w Achillesa Le Strange’a i powtóry z Potter’s Rock. W tym czasie opowieści o czynach słynnego Le Strange’a, awanturnika i pogromcy groźnych bestii, rozpałały wyobraźnię dzieciaków we wszystkich wioskach, miasteczkach i miastach dawnej Republiki. Każdy marzył o róży wytatuowanej na policzku i o rewolwerze pokrytym magicznymi glifami. Nie inaczej było w Saints, gdzie mieszkali Cobsonowie. Pośród dziesiątków rozrywek i zabaw ta jedna stanowiła bez dwóch zdań ich ulubioną. I gdy pozostałe – berek, chowany i tym podobne – z biegiem lat poszły w odstawkę, ona przetrwała, choć poddawana nieustającym zmianom. Kiedyś ganiłi się bezładnie po plaży, potem harcowali między skałami z patykami udającymi rewolwery i strzelby. Teraz byli już dostatecznie duzi – a przynajmniej większość z nich była – by zastąpić kijki prawdziwą bronią.

Sześć słomianych kukieł porozstawiali w różnych miejscach: cztery oparli o skały, jedną, nabitą na kij, zatknęli w sypkim piachu wydmy, jeszcze inną wcisnęli między gałęzie krzewu paskowca.

– Ciągniemy losy – powiedział Syatt Cotton.

– Znasz zasady – odparł Zack ze znużeniem. – Pete przyniósł naboje, więc ma fory.

Kiedyś, całe lata wcześniej, Cottonowie zasugerowali, że podczas zabawy w Achillesa Le Strange'a Pete Robinson powinien być z góry skazany na rolę bestii.

– Wyobrażacie sobie kuternogę w roli łowcy potworów? – spytał wtedy Madden i obaj bracia zaczęli rechotać. Przestali, gdy Alan i Zack zaczęli im tłumaczyć, że owszem, wyobrażają sobie. Tłumaczyli, korzystając z pięści. I to na tyle skutecznie, że temat więcej nie powrócił.

Teraz Syatt Cotton splunął w bok i popatrzył niechętnie na Zacka, ale wzruszył ramionami.

Trwały przygotowania. Pete stanął plecami do kukieł, a Jekkie wyciągniętym z kieszeni kawałkiem węgla smarowała mu na policzku kształt róży. Tymczasem pozostali sięgnęli do sterty zardzewiałych puszek przyniesionych na wydmy z plaży, gdzie od czasu do czasu wyrzucało je morze. Puszki wieszano na sztychach kukieł i to w nie trzeba było trafić, żeby zdobyć punkt.

– Już? Gotowi? – zapytał Syatt Cotton, po czym warknął na siostrę, która postanowiła dodatkowo udekorować kukły wiankami uplecionymi z trawy. – Zmykaj stąd, bo cię kulawiec jeszcze w dupsko postrzeli.

Siedmioletnia Sue pokazała mu język. Zaczęła uciekać, śmiejąc się głośno, kiedy ruszył ostro w jej stronę.

– Gotowi? – upewnił się Alan.

Wszyscy przytaknęli. Pete skinął głową z poważną miną, ściśniętymi wargami, skupionym spojrzeniem.

– Trzy, dwa, jeden – odliczył Alan. – Teraz!

Pete Robinson obrócił się w miejscu, sprawnym ruchem oparł kolbę na ramieniu.

– Dziesięć! – ryknęli chórem pozostali. – Dziewięć!

Puknął głucho napinany sprężyną tłok, śrut uderzył z cichym brzękiem o żółtawą puszkę pokrytą kożuchem rdzy. Pete momentalnie opuścił broń i szarpnął dźwi-

gnią, żeby napiąć sprężynę i wprowadzić do komory kolejny pocisk.

– Osiem! – skandowały dzieci w równym tempie. – Siedem!

Kolba znowu trafia na bark, kolejny strzał. Pudło. Przeładowanie.

– Sześć!

Padł kolejny strzał, tym razem celny. Oberwały już dwa potwory.

– Pięć! Cztery!

Trzasnęła pospiesznie dociągana dźwignia, potem cicho szcęknięcie spustu. Trzeci raz rozległ się brzęk, miedziana puszką aż się zachybotwała na szyi chochoła.

– Trzy!

Pete zarepetował i znowu przymknął oko, odnalazł drobne wybrzuszenie nad lufą, które stanowiło jedyny instrument celowniczy starej wiatrówki. Ściągnął spust. Pudło.

– Dwa!

Spieszył się. Za bardzo. Strzelił raz jeszcze i znowu spudłował. Śrut trafił kukłę w słomiany brzuch, tuż poniżej puszkę.

– Jeden!

Chłopiec błyskawicznie przeładował. Strzelił w ostatniej chwili, praktycznie bez celowania.

I spudłował.

– Zero! – krzyknęli pozostali.

– Trzy trafienia – oznajmił Alan. – Jekkie, zapisuj.

Dziewczyna kucnęła przy jednym z głązów. Na pionowej ścianie postawiła węglem literę P, a pod nią trzy krótkie kreseczki. Wyniki poprzednich zawodów zmyła burza, która dzień wcześniej przeszła nad wybrzeżem, siekąc piasek ulewnym deszczem i bijąc srebrzystymi piorunami w morską toń.

– Teraz ciągniemy losy – powiedział Zack, zerkając wymownie w stronę Cottonów.

W ciągu minuty ustalili kolejność strzelania. Zaczynał Frankie, któremu przypadła najkrótsza trawka, a kończył Alan, który wylosował najdłuższą.

– A ja? – zapytała z bezpiecznej odległości Sue. – Kiedy ja będę mogła strzelać?

– Jak urosną ci cycki! – odkrzyknął Syatt Cotton.

– Powiem mamie!

– A mów do woli – odparł chłopak. – Dalej, Frankie, do roboty. Inni czekają.

Frankie obrócił się i zaczął strzelać. Chłopcu brakowało siły i tracił za dużo czasu na przeładowywanie, ale i tak zanim pozostali doliczyli do zera, dało się słyszeć dwa brzęknięcia.

Następna w kolejce była Jekkie. Dziewczyna strzelała jak sam diabeł – błyskawicznie celowała, naciskała spust i wydawało się, że zaczyna przeładowywać, jeszcze zanim śrut dzwonił o blachę. Pięć puknięć tłoku w jej przypadku oznaczało pięć trafień.

Strzelali długo, ponad dwie godziny. Jekkie wygrywała, jak zwykle zresztą, ale Zack i Madden Cotton deptali jej po piętach. Frankie, któremu szło najslabiej, w końcu się zniechęcił – powiedział, że idzie się napić, i już nie wrócił. Natomiast Syatt tego dnia strzelał kiepsko i z każdą kolejką wściekał się coraz bardziej, bo nawet Pete Robinson zdołał go wyprzedzić.

Mała Sue nie pomagała.

– Nudzę się – powtarzała, kręcąc się wokół brata. – Poróbmy coś innego. Może schowam się, a ty mnie poszukasz? Co, Syatt? Co? Zrobimy tak? Proszę!

Za którymś razem chłopak nie wytrzymał i ją odepchnął, a wtedy mała upadła i stłukła sobie na kamieniu

kość ogonową. Momentalnie wybuchła płaczem i zaraz potem rwącym się głosem, słowami ledwie zrozumiałymi od połykanych łez, oznajmiła, że idzie powiedzieć o wszystkim mamie.

– A leż, gdzie chcesz, mały gnomie! – burknął Syatt i machnął na nią ręką. Obejrzał się na pozostałych. – A wy na co czekacie? Strzelajcie, do diabła! Kto teraz?

– Mógłbyś ją przeprosić – oznajmił Alan, biorąc do ręki wiatrówkę i stając plecami do kukieł, które Madden i Zack przedstawiali w inne miejsca. W trafianiu do puszek szło mu niewiele lepiej niż młodszemu z Cottonów, ale wydawał się tym nie przejmować.

– A ty, Cobson, mógłbyś się zamknąć i strzelać.

– Pewnie. Mógłbym też wybić ci kilka zębów.

– Tak? No to odłóż tę pukawkę i powiedz mi to prosto w twarz.

– Już się bałem, że nie poprosisz.

Zanim pozostali zrozumieli, co się kroi, Alan i Syatt już tarzali się po ziemi. To jeden, to drugi lądował na plecach – przetaczali się z miejsca w miejsce, kotłowali, ciasno spleceni, mocując się ze sobą i okładając nawzajem pięściami. Kiedy Madden i Zack w końcu ich rozdzielili, Alan miał pękniętą wargę i naderwaną koszulę, a Syatt krwawił z nosa.

– Pięknie – gwizdnął Zack. – Rodzice będą przeszczęśliwi, jak was zobaczą.

– E, przyzwyczaili się już – odparł Madden. Prawdopodobnie miał rację, podobne bijatyki były bowiem w wiosce na porządku dziennym. – Dajcie już spokój i strzelajmy dalej.

– Strzelajcie sami – odparł Alan. – Mnie przeszła ochota.

Odszedł ku wiosce zważym krokiem. Zack stał jak wryty, lecz po kilku chwilach pobiegł jego śladem.

– Alan? – Zrównał się z bratem. – Hej, Alan. Co jest?
– Nic.
– Skoro nic, to czemu nie chcesz już strzelać?
– Nie chcę i już. Mam dość.
– To przez Syatta? – zapytał Zack. – Daj spokój, to głąb i osioł, wiesz przecież.

Alan nie odpowiedział od razu, ale po kilku krokach zatrzymał się, podniósł nieduży kamyk i cisnął go w dal, w stronę lasu gęstniejącego za granicą wytyczoną przez skały i piach. Zack nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział brata w takim stanie: bladego, roztrzęsionego, oddychającego pospiesznie, jak po szybkim biegu. Nic z tego nie rozumiał.

Z miejsca, gdzie stali, widzieli całą wioskę: tuzin domów przytulonych do skąpo porośniętego wału wydm, masywny, rozszerzający się ku górze zbiornik na deszczówkę, ułożoną z nieforemnych kamieni budkę wędzarni, a także drewnianą wiatę o ścianach z drucianej siatki i furcie zamkniętej na kłódkę, gdzie kryły się beczki z naftą wykorzystywaną jako paliwo do kutrów. Na niewysokich drewnianych palikach suszyły się sieci rybackie, a powietrze co rusz przecinały mewy i małżojady.

– Nie chodzi o Syatta – oznajmił w końcu Alan. – Po prostu... sam nie wiem. Od samego rana coś nie daje mi spokoju. Jakby... przeczucie.

– Przeczucie?

– Że stanie się coś złego.

Zack popatrzył na brata, nie kryjąc zaskoczenia.

– Co dokładnie?

– Nie wiem – odburknął Alan. – Przecież mówię, że to przeczucie. To jakby...

Wtedy usłyszeli krzyk. To była Sue Cotton. Jej przeżony, piskliwy głos eksplodował spomiędzy skał i roz-

brzmiewał, rozbrzmiewał bez przerwy, tak jakby strach tryskał z jej ciała na podobieństwo pary uchodzącej przez gwizdek czajnika.

Zack i Alan wymienili zaskoczone spojrzenia i popędzili w jej kierunku. Byli znacznie bliżej niż pozostali, więc wpadli między głazy i ujrzeni Sue jako pierwsi.

Dziewczynka stała w skalnej niszy, oparta plecami o granitowy blok. Zabrakło jej tchu i przestała wrzeszczeć, ale wyglądała, jakby chciała tyłem wspiąć się na głaz. Spojrzenie wytrzeszczonych oczu utkwiała w czymś leżącym na ziemi, zaledwie dwa lub trzy kroki dalej. Dopiero kiedy kształt uniósł łeb, chłopcy zrozumieli, że to długa na ponad trzy stopy żółtoszara żmija.

Sue cała się trzęsła, z jej gardła dobywał się paniczny, ochrypy bulgot. Każdy inny wąż w tej sytuacji czym prędzej uciekłby między trawy i kamienie, ale nie ten: gad cofnął głowę i naprężył ciało. Podrygującym rozdwojonym językiem nieustannie kontrolował pozycję ofiary. Gotował się do ataku.

Zack bez wahania chwycił kamień i rzucił. Nie trafił czysto, wąż jednak zwrócił ku niemu paciorkowate ślepie. Język śmignął między długimi zębami jadowymi, łuskowate ciało pozostało napięte jak sprężyna.

– Sio! – krzyknął chłopak. – Zmykaj stąd!

Słychać było krzyki Cottonów nawołujących siostry, a także głosy Jekkie i Pete'a. Żmija tymczasem uniosła trójkątny łeb nieco wyżej, zwróciła się z powrotem w stronę Sue. Zack kątem oka dojrzał Alana obchodzącego węża po krótkim łuku.

– Alan... – zaczął.

– Wiem. Ty zajmij się Sue. Teraz!

Poruszali się tak, jak tylko bliźniacy potrafią – jakby byli jednym ciałem w dwóch miejscach równocześnie. Alan

doskoczył do węża i chwycił go za ogon. W tym samym momencie Zack przesadził niską skałą, znalazł się przy dziewczynce i osłonił ją własnym ciałem. Był od niej dwa razy większy, miał zatem większą szansę przeżyć ewentualne ukąszenie. Przytulił Sue do siebie, czując, jak pisk więźnie jej w gardle. Dopiero wtedy obejrzał się na brata.

Alan cofnął się o kilka kroków. W wyciągniętej ręce trzymał ogon węża. Gad zwisał niemal bezwładnie, najwyraźniej pokonany przez grawitację. Sue, do której dotarło, że jest bezpieczna, wybuchnęła niekontrolowanym szlochem. Kiedy Cottonowie pokazali się w zasięgu wzroku, Zack puścił ją, a ona natychmiast pobiegła do wystraszonych braci.

– Alan, wszystko w porządku? – spytał Zack, ocierając czoło pokryte potem.

– Pewnie – odparł chłopak, szczerząc zęby. Miał głupawą minę, jakby udało mu się coś, w czego powodzenie kompletnie nie wierzył. – Co niby mogło pójść źle?

I właśnie wtedy coś poszło źle.

Wisząca niemal pionowo żmija wygięła się w łuk, rozwarła paszczę i trysnęła jadem prosto w twarz chłopca.

Nie miało znaczenia, że według wszystkich mieszkańców wioski plujące żmije nie istnieją. Nie miało znaczenia, że nawet te węże, które pluć potrafią, nie mogą w ten sposób uczynić wyrośniętemu, zdrowemu chłopcu trwałej krzywdy.

To wszystko było bez znaczenia, gdyż w niecałą minutę po spryskaniu twarzy jadem Alan Cobson stracił przytomność i więcej jej nie odzyskał.

Umarł tego samego wieczoru.

3

Zacka do końca życia dręczyły wspomnienia tych kilku upiornych godzin, które minęły, nim Alan wyzionął ducha. Pamiętał żołądek związany w supeł i przerażającą świadomość własnej bezradności; bladą twarz matki oraz ojca kruszącego zębami ustnik fajki. Pamiętał zapach parzonych ziół i hipnotyzujący brudnożółty blask wiedźmowego kamienia, który przyniosła wdowa po panu Jenningsie i który umieścili na czole nieprzytomnego chłopca.

Najgorsze nadeszło po zmroku, kiedy wszystkie napary i wywary zostały już podane, zmieniono okłady, obłożono Alana kocami. W wiosce z wolna zapadała cisza, kończył się kolejny dzień.

Można było już tylko czekać i mieć nadzieję.

Matka próbowała robić na drutach, ale ręce jej drżały i ciągle się myliła, więc dała sobie spokój i tylko siedziała w fotelu, zapatrzona w bladą twarz umierającego dziecka. Motek włóczki leżał na jej kolanach, stalowe szpikulce trwały w dłoniach, bo nie miała sił ich odłożyć.

Ojciec chodził po izbie, deski jęczały pod jego ciężkimi stopami. Raz wyszedł przed chatę, żeby zapalić fajkę, ale nie minęła minuta, a był z powrotem.

– Tyle razy was prosiłem – rzekł w pewnym momencie głosem jak wyżęta, mokra ściera. Zack wiedział, że zwraca się do niego. – Tyle razy... Wszystkie inne zabawy, ale nie ta...

Z jakiegoś względu, którego ani Zack, ani Alan nigdy nie rozumieli, ojca drażniło, gdy bawili się w Achillesa Le Strange'a i odtwarzali którąś z jego przygód.

– To tylko dzieci – upomniała męża Mary Ann. – To mogło się stać przy dowolnej zabawie.

Popatrzył na nią ostro, zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Willem Cobson kochał żonę i nigdy świadomie jej nie uraził. Teraz jednak wyraźnie walczył ze sobą, żeby nie powiedzieć jej nic przykrego.

W końcu się opanował.

– Jesteś pewna, Mary Ann? – zapytał tylko cicho, jakby właśnie odarto go z resztek wściekłości i woli walki. – Bo ja nie. Bogowie mi świadkiem, że ja nie jestem pewien.

Zack nie zdążył zapytać ojca, co ma na myśli, ponieważ w tym momencie Alan drgnął. Wymamrotał parę słów, których nikt nie zdołał zrozumieć, i zatrzepotał rzęsami. Dłonie zacisnął w pięści i jęknął boleśnie.

Zanim przypadli do chłopca, jego mięśnie rozluźniły się, a spomiędzy zaciśniętych zębów uleciał syk. Zupełnie jakby uchodziło z niego powietrze.

Dom zatonał w ciszy. Nikt nie odważył się choćby drgnąć. Dopiero chwilę później, kiedy na zewnątrz Falstaff zawył głośno i żałośnie, Willem Cobson położył głowę na piersi syna. Potem bez słowa podszedł do żony i mocno ją przytulił, a po jego stężałej twarzy, po raz pierwszy, odkąd Zack pamiętał, ciekły łzy.

Nadszedł dzień pustki. Od rana w wiosce panowała cisza, zupełnie jakby nową śmierć dało się wyczuć w powietrzu. Rozmowy prowadzono szeptem. Nikt nie wypłynął w morze. Dzieci siedziały w chatach, psy leżały przed budami z łbami złożonymi na łapach i chyba tylko z przyzwyczajenia biły ogonami o ziemię.

Przez całe przedpołudnie Cobsonów odwiedzali goście i powtarzał się ten sam rytuał. Kobiety przynosiły świece z bursztynowego wosku, zapalały je i ustawiały w rzędzie obok ciała Alana. Mężczyźni całowali Mary Ann w oba policzki, kładli lewą dłoń na karku Willema i dotykali czołem jego czoła. Maczali palce w miseczkę z morską wodą i kreślili na twarzy zmarłego zwyczajowe symbole kwadratu, trójkąta i koła. Niektórzy, wychodząc, mierzlili Zackowi włosy. Inni traktowali go jak powietrze. Pani Knicks pogładziła go po czuprynie, ucałowała w czubek głowy i wsunęła mu w dłoń miodowe ciasteczko.

W pewnym momencie przyszli Cottonowie. Nigdy nie darzyli się z Cobsonami szczególną sympatią, choć w wiosce tak małej jak Saints musieli się nauczyć żyć obok siebie bez wszczynania awantur. Syatt i Madden byli milczący i wyglądali na przerażonych. Nic dziwnego – zginął ich towarzysz zabaw, poza tym z pewnością rozumieli, jak niewiele brakowało, aby zamiast młodego Cobsona żegnali dziś swoją siostrę.

Sue płakała cały czas i nie miała odwagi spojrzeć na Alana. Trzymała się kurczowo matczynej sukni. Zackowi było jej żal – ze wszystkich Cottonów to ją lubił najbardziej.

Pan Cotton nakreślił znaki na czole Alana, skinął głową Willemowi i ruszył do wyjścia. Nieoczekiwanie zatrzymał się przy Zacku i obrócił w jego stronę. A później uklęknął naprzeciwko.

– Gdyby nie ty i twój brat... – powiedział, ledwo panując nad sobą. Głos mu się załamał, oczy zaszkliły. – Gdyby nie wy, moja córka by nie żyła.

Chciał dodać coś jeszcze, ale nie znalazł w sobie dość siły. Spojrzał Zackowi w oczy, po czym położył mu dłoń na karku i dotknął czołem jego czoła.

– Niech Siedmioro ma cię w swojej opiece – wyszeptał, po czym podniósł się i pośpiesznie wyszedł z domu Cobsonów. Cała rodzina podążyła za nim. Zostawili po sobie pustkę i żal równie wyczuwalne co zapach morza, który wiatr tłoczył przez otwarte drzwi.

Ojciec zbliżył się do Zacka i przed nim przykucnął.

– Teraz jesteś mężczyzną – powiedział, przesuwając palcem po jego czole. Później powtórzył gest pana Cottona. Głowy ojca i syna złączyły się w symbolicznym akcie współczucia.

Dopiero wtedy Zack zaczął płakać.

Po południu mężczyźni – a Zack razem z nimi – poszli do lasu. Znaleźli odpowiednie tarmasowe drzewo, ścięli je, poobrzynali gałęzie i przyciągnęli pień do wioski. Pan Cotton wraz z panem Knicksem zaczęli obrabiać jeden koniec, aby wystrugać dziób, reszta zajęła się zrywaniem kory i drążeniem pnia.

Skończyli tuż przed zmrokiem. Kawałki drewna z wnętrza dłubanki wykorzystano do rozpalenia ogniska. Kobiety przyniosły kolację, którą mieszkańcy wioski spożyli wspólnie, w milczeniu, z oczyma utkwionymi w tańczących płomieniach. Jedzenie, jak zawsze, gdy ktoś umarł, było postne: chleb maczany w occie, do picia gorzka herbata.

Godzinę po zmierzchu ciało Alana zawinięto w płótno, widoczna pozostała tylko twarz biała jak morska piana. Chłopca złożono w łodzi, a żałobnicy zebrani na plaży zaintonowali starą pieśń w języku Minionego Wieku, błagając morze, aby przyjęło swoje dziecko. Śpiewali długo, dostosowując tempo do jednostajnego szumu fal. Pieśń narastała, gdy do chóru przyłączały się kolejne głosy, aż osiągnęła swoisty szczyt; melancholijna i ponura, płynęła w nocny bezkres. Z czasem z każdym kolejnym powtórzeniem zebrani cichli coraz bardziej i bardziej, milkły kolejne osoby. W końcu słyszeć było tylko słabe głosy trójki Cobsonów, a wreszcie zgasty i one.

Zapadła cisza. Niepodsycane płomienie zmały, na plaży coraz odważniej panoszył się mrok. Wszyscy stali zasłuchani w noc, wdychając słone, morskie powietrze.

Kiedy z ogniska zostały tylko żarzące się węgle, kilku mężczyzn rozebrało się i wpełzło łódź do wody. Potem rodziny rozeszły się do swoich chat. Tylko Cobsonowie zostali na brzegu i patrzyli w ślad za dłubanką, aż jej kształt rozmył się w niewyraźny czarny kleks, który wkrótce zlał się z wszechobecną ciemnością.

6

Łódź wróciła nad ranem. Czekwała na brzegu, wypchnięta przez przypływ na mokry piach. Ciało Alana wciąż spoczywało w środku, zawinięte w ten sam płócienny całun. Gdy tylko morze zaczęło się cofać, pożegnano chłopca raz jeszcze, choć znacznie mniej uroczyście.

7

Dzień po tym, jak łódka wróciła po raz drugi, matka pozwoliła Zackowi pospać nieco dłużej. Dni w wiosce z reguły zaczynały się wcześnie, bo zawsze było wiele do zrobienia, a rąk do pracy nieustannie brakowało. Tym razem jednak Mary Ann Cobson obudziła syna dopiero dwie godziny po świcie.

Przez otwarte drzwi wpadało rześkie morskie powietrze, znad pieca niósł się zapach czerwonej fasoli i kruchych placków kukurydzy. Gdzieś na zewnątrz ujadł pies, a promienie słońca kładły się na podłodze ciepłymi, złocistymi plamami. Ojca już nie było – poszedł z innymi mężczyznami i najstarszymi dziećmi na saliny leżące milę na północ od Saints.

Sól odparowywali z morskiej wody w płytkich basenach wykopanych w północnym łuku zatoki, później zaś pakowali ją w wory i wieźli na targ do Lion's Head albo Sodersbury. Stanowiła główne źródło dochodu wioski i pozwalała mieszkańcom wiązać koniec z końcem. Sporadycznie, jeśli połów był wyjątkowo udany, mogli zarobić też nieco grosza, sprzedając wędzone ryby w wioskach położonych w głębi lądu, ale bywało i tak, że w sieciach znajdowali głównie wynaturzone, zdeformowane stworzenia, które śniły się potem dzieciom i których nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się wziąć do ust. Trochę pieniędzy przynosiło też polowanie na kaszaloty. Szczególnie cenna była ambra, ale przyzwoicie zarabiano się również na olbrocie, który w Lion's Head wykorzystywano do produkcji świec oraz rozmaitych kremów i maści, a w za-

kładach Harla Forbesa jako smaru do maszyn. Kaszaloty jednak rzadko pojawiały się blisko brzegu, a nikt z Saints nie ośmieliłby się zapuścić zbyt daleko na zdradliwych wodach Morza Białego.

Zack zjadł śniadanie i wyszedł przed chatę. Zerknął w stronę plaży i mimo woli odetchnął z ulgą, widząc, że łódź z Alanem nie wróciła w ciągu tych kilku godzin. Dzień był słoneczny, błękitu nieba nie mąciła ani jedna chmura, a ciepły wiatr przypominał, że lato może i dobiega końca, ale nie dało jeszcze za wygraną.

Przedpołudnie upłynęło Zackowi pracowicie. Przez jakiś czas wraz z Pete'em Robinsonem i Knicksami sprawdzał i naprawiał rybackie sieci. Robota była żmudna i nieciekawa, a to, że od śmierci Alana minęło tylko kilka dni, też nie pomagało – wspomnienie tragedii wciąż było żywe, a nieobecność chłopaka niemal namacalna. Dzieciakom ani w głowie były docinki, przekomarzania czy sporadyczne bijatyki.

Koło południa rozeszli się do domów. Zack zjadł miszkę zupy rybnej, po czym matka podała mu zawiniątko z ciepłymi jeszcze plackami i kazała zanieść ojcu. Inne kobiety też go odpowiednio wyposażyły. Wyprawa na saliny zawsze trwała długo, a mężczyźni wracali zazwyczaj dopiero po zapadnięciu zmroku.

Zack wziął ze sobą poprzecieraną torbę na ramię – od chwili, kiedy parę lat wcześniej znalazł na plaży zardzewiałą pozytywkę, po drodze zawsze rozglądał się za rzeczami, które morze wyrzuca na brzeg. Gwizdnął na Falstaffa i ruszył w drogę. Szedł energicznym krokiem, przy samej linii wody, tak aby ta raz po raz obmywała mu stopy. Pies z początku się bawił, atakując fale, ale w końcu dał sobie spokój i dreptał tylko obok swojego pana.

Byli w połowie drogi na saliny, kiedy Falstaff szarpnął łbem, uniósł wyczekująco przednią łapę, zastrzygł

uszami. Po chwili szczechnął głośno i pobiegł w głąb plaży, w stronę jakiegoś ciemnego kształtu, którego Zack, wpatrzony w muszle, frędzle wodorostów i małe otoczaki, wcześniej nie zauważył.

– Co tam, Fal?

Pies odpowiedział podwójnym szczeknięciem, po czym zatrzymał się przy czarnej plamie i zaczął ją obchodzić, intensywnie węsząc.

Kiedy Zack się zbliżył, zrozumiał, że tajemniczy kształt to po prostu czarny płaszcz. Piasek wokół nie był mokry, poza tym nawet w czasie burzy woda w zatoce rzadko podchodziła tak wysoko w górę plaży. A zatem płaszcz nie został wyrzucony na brzeg przez fale.

Chłopiec przykucnął, pogłaskał Falstaffa po głowie i podrapał za uszami. Płaszcz wykonany był z czarnej wełny, która z czasem wyblakła i jakby poszarzała. Zack podniósł go, chwyciwszy za rękaw, i z zaskoczeniem spostrzegł kilka niemal identycznych dziur na plecach. Minęła chwila, nim pojął, skąd mogły się tam wziąć. Puścił rękaw, szybko odsunął się o krok.

– Krwawa plaga, Fal! To dziury po kulach.

Pies zaszczeakał na znak, że przychyła się do tej hipotezy, i dalej niuchał wokół płaszcza z nosem niemal zanurzonym w piachu.

Zack popatrzył w stronę krańca plaży, gdzie wśród wydmy piętrzyły się pierwsze skały. Błądził wzrokiem od jednej ciemnej szczeliny do kolejnej, bacznie sunął spojrzeniem po cieniu zalegającym pomiędzy rosnącymi nieco dalej drzewami tarmasowymi. Szukał wśród znajomych kształtów czegoś obcego. Choć nic takiego nie rzuciło mu się w oczy, opanował go niepokój. Stał nad podziurawionym płaszczem, z wyschniętym gardłem i uniesionymi włoskami na karku.

Już miał się zmusić, żeby ruszyć w dalszą drogę, kiedy przyszło mu do głowy, że może znajdzie coś w kieszeniach płaszcza. Nie palił się, by wsadzić tam dłonie – po tym, co spotkało Alana, w każdej dziurze i szczelinie spodziewał się ujrzeć węża, skorpiona albo jadowitego żuka tęczaka – po prostu obrócił płaszcz i mocno nim potrząsnął.

Coś wypadło na piasek, jakiś drobny, połyskliwy przedmiot. Zack cisnął okrycie na bok i przyklęknął nad znaleziskiem. Była to kwadratowa metalowa płytką o średnicy mniej więcej cala i równie gruba co medalik, który matka nosiła na szyi. Złote ścianki pokryte były jakimiś symbolami albo słowami, zbyt jednak zatartymi, żeby dało się cokolwiek odczytać.

Falstaff chyba coś wywęszył, bo odbiegł ku wydmom i zaczął szczekać, ponagłając Zacka, by poszedł za nim. Chłopak jednak wcale nie miał ochoty na przygody i rozwiązywanie zagadek. Schował złotawy kwadracik do kieszeni i gwizdnięciem przywołał psa. Musiał krzyknąć jeszcze dwa razy, zanim ten w końcu przestał szczekać i posłusznie przybiegł do pana. Razem podążyli ku salinom.

Na miejsce dotarli po kilku minutach. Odstojniki ciągnęły się równolegle do brzegu morza, poprzdzielane usypanymi z piasku groblami i drewnianymi zaporami, które otwierano, żeby do zbiorników napłynęła świeża woda. Wszystkie drewniane konstrukcje pokryte były białoszarymi wykwitami soli, piasek wokół też zmieszał się z nalotem i wyglądał jak oszroniony.

Ojciec i pozostali pracowali mniej więcej w połowie długości basenów. Na wózkach leżały już dwa zasnurowane wory, kolejne powoli zapełniano. Większość mężczyzn wygarniała sól na brzeg odstojników narzędziami przypominającymi szerokie szufle z ostrzami zatkniętymi na stylisku pod kątem prostym. Pan Cotton z Syattem i Madde-

nem zajmowali się natomiast napuszczaniem świeżej wody do jednego ze zbiorników. Pogoda jak dotąd była łaskawa, a dni wciąż ciepłe, istniała więc szansa na jeszcze jedną wyprawę do salin, zanim nadejdą wichry i deszcze. Potem, przez całą jesień i zimę, zostawało im tylko odparowywanie wody morskiej w specjalnych kotłach, ale był to proces powolny i męczący, do którego potrzebowali dużych zapasów paliwa.

– Znalazłem coś dziwnego, tato – powiedział Zack, kiedy mężczyźni zrobili przerwę na posiłek. Byli spoceni, ich zbrązowiałą skórę pokrywał białawy nalot. Willem Cobson zdjął kapelusz i otarł czoło. Potem pospiesznie rozwinął pakunek i zaczął jeść szybko, dużymi kęsami. Po paru godzinach wytężonej pracy wędzona ryba i chrupiące placki z powidłami z dzikiej róży smakowały wybornie. – Na plaży, po drodze tutaj. To był płaszcz. Czarny wełniany płaszcz. Cały podziurawiony.

– Morze wyrzuca na brzeg najróżniejsze rzeczy. Sam przecież wiesz.

– Kiedy to nie morze go wyrzuciło. Leżał z dala od linii wody, pod wydrami. I był zupełnie suchy. Myślę... Tato, ja myślę, że to były dziury po kulach.

Siedzący obok Jareb Knicks, sporo starszy brat Jekkie, zakrztusił się i pomogło mu dopiero solidne klepięcie w plecy. Willem Cobson tymczasem dalej przeżuwał swój placek, ale już spokojniej, wolniej.

– Czemu uważasz, że to były dziury po kulach, Zack?

– Nie wiem. To takie... przecucie.

Kiedy to powiedział, poczuł jakby bryłkę lodu sunącą mu gdzieś po wnętrzościach. Alan tamtego dnia użył tego samego słowa: przecucie. A kilka godzin później już nie żył.

– Widziałeś już kiedyś podobne dziury? – zapytał ojciec.

– Nie. Ale na pewno nie wygryzły ich mole – odburknął chłopiec. – Nie jestem głupi.

– Nie mówię, że jesteś. Nie wiem tylko, czemu ktoś miałby zostawić podziurawiony płaszcz akurat na naszej plaży. Widziałeś na nim jakieś ślady? Śmierdział starą krwią?

– Nie – przyznał niechętnie Zack. Potem jednak znowu się ożywił. – Ale znalazłem coś innego.

Wyciągnął z kieszeni metalowy przedmiot i pokazał ojcu. Mężczyzna zerknął na niego, po czym wytrzeszczył oczy. Jego usta znieruchomiały na wpół otwarte, z okruszkami placka przylepionymi do dolnej wargi. Podniósł się szybko, chwycił Zacka za ramię i odciągnął od reszty.

– Skąd to masz? – zapytał. Mówił cicho, niepokojąco cicho, ale też ostro, niemal syczał. Wyraz jego twarzy sprawił, że Zackowi głos nagle zgęstniał w gardle w lepką grudę.

– Już mówiłem – wykrztusił. – Znalazłem w tym płaszczu.

– Zack, jeśli nie mówisz prawdy...

– Mówię prawdę! Czemu miałbym kłamać? Wiesz, co to jest, prawda? Widziałeś już coś podobnego?

Odeszli jeszcze dalej. Ojciec wziął od niego blaszkę i obrócił ją w palcach. Potem schował ją w zaciśniętej pięści. Spojrzał w morze, rysy twarzy nagle mu stężały.

– Tak – odparł szeptem. – To moneta.

– Myślałem, że wszystkie monety są okrągłe.

– Teraz tak. Ale nie zawsze tak było. To stara moneta. Z Minionego Wieku. Widzisz ten drobny napis? Mówi, że wybito ją w Port Covenant. Za czasów Republiki.

– Jest wiele warta?

– Sporo. Nasze aurenę wykonuje się z mieszkanki miedzi i złota, przy czym tego drugiego jest w nich niewiele. Tę monetę zwano solidem. To niemal czyste złoto i srebro.

Przez moment coś rozważał, po czym oddał monetę synowi i kazał ją dobrze schować.

– Chodź – dodał po chwili. – Pokażesz mi, gdzie znalazłeś ten płaszcz.

Willem Cobson nie wyglądał na zdenerwowanego czy wystraszonego, ale z jakiegoś powodu pożyczył od pana Cottona dwulufową strzelbę, którą ten zawsze zabierał ze sobą na wypadek spotkania z kuguarem lub wilkiem.

Kiedy dotarli na miejsce, płaszcz nigdzie nie było. Zack spodziewał się, że ojciec zwymyśla go od łgarzy, ale nic takiego się nie stało. Willem Cobson przeszedł się wkoło miejsca wskazanego przez chłopca, po czym zmierzył chmurnym wzrokiem stalowoszare pnie drzew tarmasowych rosnących ciasno ponad usianą głazami linią wydm.

– Idź do domu, Zack – oznajmił po chwili. Jego głos miał w sobie coś takiego, że chłopakowi mroził krew w żyłach. – Idź szybko i nie zatrzymuj się po drodze. Powiedz matce, że dzisiaj wrócimy wcześniej.

Kiedy chłopiec przeszedł sto, może sto pięćdziesiąt kroków i zerknął przez ramię, jego ojciec wciąż stał na plaży i obserwował drzewa, ściskając w dłoni dubeltówkę.

Pracujący na salinach faktycznie wrócili wcześniej. Przywieźli na taczkach siedem ciężkich worów pełnych soli. Zazwyczaj po takiej wyprawie byli brudni, zmęczeni, ale zadowoleni. Tego dnia przyszli jednak ponurzy, a ich spojrzenia niepokojąco często kierowały się w stronę wydmy i plam cienia wypełniających przestrzeń między drzewami.

Cobsonowie zjedli kolację w milczeniu. Gdy tylko pozmywano naczynia, ojciec kazał Zackowi iść spać, bez dyskusji. Sam zaś nabił fajkę i wyszedł z matką przed chatę.

Na sen było za wcześnie, poza tym chłopca zżerała ciekawość. Przebrał się w koszulę nocną, ale zamiast paść na siennik, podkraść się możliwie blisko drzwi i nadstawił uszu.

– Naprawdę tak sądzisz? – usłyszał przestraszony głos matki. – Przecież on... Jak to możliwe? Przez tyle lat... Tak długo mieliśmy spokój.

Ojciec nie odpowiedział od razu. Zack wyobrażał go sobie, jak gryzie ustnik fajki, jak z główki idzie dym pachnący mieszanką wanilii i wiśni.

– Też nie chce mi się w to wierzyć – odparł w końcu. – Ale... ta moneta. I płaszcz, o którym mówił Zack. Czarny płaszcz podziurawiony kulami, Mary Ann. Wiesz, co to oznacza. Nie wierzę, żeby Zack sobie to po prostu wymyślił.

Znowu zapadła cisza. Chłopak stał w bezruchu, zbyt przejęty, żeby choć przełknąć ślinę.

– Boję się – powiedziała matka, tak cicho, że ledwo dało się ją zrozumieć. – Czego on chce?

– Zadośćuczynienia? – odparł ojciec po chwili. – Zemsty? Bogowie tylko wiedzą, co mu chodzi po głowie. O ile to faktycznie on.

Sposób, w jaki wypowiedział słowo „on”, sprawił, że Zack nagle poczuł się, jakby nie znał własnego ojca. Nigdy wcześniej nie słyszał w jego spokojnym, zrównoważonym głosie takiego ładunku emocji. Takiego... wstrętu. I strachu.

– Myślałam, że on nie żyje – powiedziała matka ci-chutko. Zack się domyślał, że Mary Ann kuli się teraz w sobie, a mąż obejmuje ją ramieniem i przytula.

– Też tak myślałem. Ale kto inny?

– Może... Może to jakiś durny żart?

– Skarbie, za tę jedną monetę można by kupić całą sól, jaką dziś zebraliśmy, i jeszcze oczekiwać reszty. Nikt przy zdrowych zmysłach nie poświęciłby takiej sumy dla żartu. To nie jest jakaś głupia zabawa.

– Więc co?

– Ostrzeżenie. Albo obietnica.

Znowu cisza. Zapach tytoniu wpadał do chaty przez uchylone drzwi, po kątach rosły cienie.

– Co zrobimy? – spytała Mary Ann.

– Jutro spakujemy najważniejsze rzeczy. Pojutrze ruszymy do Lion's Head. Tam będziemy bezpieczniejsi. Znajdziemy jakiś statek i popłyniemy gdzieś, gdzie nas nie znajdzie.

– Myślisz, że jest takie miejsce?

Ojciec nie odpowiedział i to przedłużające się milczenie, bardziej niż cokolwiek, co dotąd powiedzieli rodzice, sprawiło, że Zack zaczął się bać, naprawdę bać.

– Musimy spróbować – odrzekł, po czym zastukał fajką o ścianę, by pozbyć się resztek tytoniu.

Zack podskoczył w miejscu, gotowy popędzić w stronę posłania. Nie chciał, by go zdemaskowano.

– Will. – Matka zatrzymała ojca. – Co, jeśli nie zdążymy? Co, jeśli on nadejdzie już jutro? Albo dziś w nocy?

Zack nagle przypomniał sobie ten mroczny czas przedświt, po tym jak ojciec i pan Franklin wypchnęli dłu-bankę z Alanem z powrotem w morze, a on i Falstaff zostali na plaży, żeby odprowadzić ją wzrokiem. Przypomniał sobie zachowanie psa i strach, który spadł na nich nagle, bez zapowiedzi, jak pierwszy powiew sztormowego wiatru – to okropne przekonanie, że ktoś czai się w mroku i ich obserwuje.

– Nie nadejdzie – odparł ojciec.

Chłopiec szybko przekradł się do pośłania i zagrzebał pod kocem. Uderzenie serca później Willem Cobson wszedł do chaty.

Zack leżał w ciemności i długo nie mógł zasnąć. Martwiło go, że ojciec wcale nie brzmiał, jakby wierzył we własne zapewnienia.

PŁDZIĘKŁWANIA

Autorzy piszą czasem, że dana książka nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie wsparcie takiej czy innej osoby bądź grupy osób. Kiedy byłem młodszy i głupszy, żywiłem przekonanie, że jest to stwierdzenie mocno naciągane i że przez owych autorów przemawia wyłącznie kurtuazja. Od tamtej pory sporo się w moim życiu zmieniło i dlatego chciałbym teraz krótko podziękować osobom, bez których niniejsza książka naprawdę nigdy by się nie ukazała.

Bratu dziękuję za zarażenie mnie miłością do literatury w ogóle i do fantastyki w szczególności. Rodzicom – za nieukończone pokłady wsparcia i wiary w moje możliwości. Teściowej – za chwile wytchnienia, gdy pomagała mnie i żonie w opiece nad dziećmi, przez co od czasu do czasu zamiast biec z wózkiem na kolejny spacer, mogłem usiąść przed komputerem i stukając w klawisze, snuć tę opowieść. Dziękuję moim dzieciom za bezlitosne przypominanie mi, że istnieje świat realny, w którym ktoś mnie potrzebuje – inaczej, kto wie, może zagubiłbym się w uniwersum Diabłów i już z niego nie wyszedł. Dziękuję wreszcie mojej cudownej żonie Marcie: za miłość, za oddanie, za troskę i wyrozumiałość, za te wszystkie dni i godziny, kiedy godziła się na to, że zamiast z nią, spędzam czas ze swoją historią.

Podziękowania należą się również osobom, bez których ta książka może i by się ukazała, ale na pewno nie w takiej

formie. Marcinowi Dobkowskiemu dziękuję za oferowaną mi szansę. Leszkowi Woźniakowi za okładkę godną prozy znacznie wyższych lotów. Joasi Mice za rzetelną i wnikliwą redakcję.

Dziękuję wreszcie Tobie, Czytelniku – wszak bez Ciebie to nie żadna książka, a jedynie plik kartek wybrudzonych atramentem.



[Kup książkę](#)

Diabły z Saints
Copyright © Marcin Rusnak
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Leszek Woźniak
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-381-3

epub ISBN 978-83-7995-382-0

mobi ISBN 978-83-7995-383-7

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Joanna Mika
Korekta: Małgorzata Tarnowska
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Leszek Woźniak
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



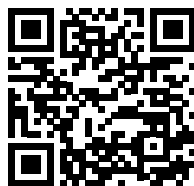
JEDYNE: ŚCIEŻKI KRWI PAWEŁ MAJKA

Jedyne - centrum Wieloświata jest areną nieustającej walki o wpływy pomiędzy frakcjami politycznymi, religiami, korporacjami, gangami i tajnymi stowarzyszeniami. Obiektem ataków rebeliantów, terrorystów, anarchistów i „zaszumionych”. Raz na jakiś czas, kiedy Jedyne próbuje uwolnić się spod władzy Króla, rywalizacja staje się jeszcze bardziej bezpardonowa, a liczba zamachów i przewrotów gwałtownie rośnie.

W trakcie obławy na potężnego maga renegata do niewoli trafia jego syn – Myszon Oko. Chłopak co prawda posiada talent magiczny, ale wychowywany w zaściankowym świecie-widmie nie potrafi z niego korzystać. Mimo to na rozkaz Strażniczki zostaje wcielony do elitarnego oddziału Węzłów, tego samego, który go pochwycił. Wszyscy jego członkowie byli niebezpiecznymi buntownikami, których wolną wolę Król złamał, podporządkowując ich sobie i wyznaczając do trudnego zadania ochrony Jedynego.

Wkrótce Węzły zostają wysłane w pościg za Szalonym Widmiarzem, który podróżuje przez Wieloświat pradawnymi ścieżkami krwi. Schwytanie uciekiniera nie rozwiązuje jednak problemu bezpieczeństwa Jedynego, a wręcz przeciwnie, uświadamia Węzłom, w jak wielkim niebezpieczeństwem znalazł się wszechświat. Zaczyna się wyścig z czasem!

Paweł Majka, trzykrotny laureat Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, stworzył kolejny tętniący życiem świat, pełen niezwykłych i barwnych postaci. Nieskrępowana wyobraźnia, erudycja i bezkompromisowe podejście do rozmiaru kreowanych wizji gwarantują pasjonującą lekturę. Jeśli podobały Ci się „Kroniki Amberu” Rogera Zelaznego, „Ścieżki krwi” Cię zachwycą!





TROPICIEL MAŁGORZATA LISIŃSKA

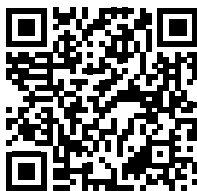
Sodi Yudherthardere, dla przyjaciół i ludzi z problemami wymowy po prostu Sodi, to krasnoludzki Tropiciel ze słabością do kobiet, alkoholu, złota, bijatyk i magii (dosłowną). U boku Yasy (najpotężniejszego żyjącego maga) i Likal (seksownej, potężnej i kompletnie nim niezainteresowanej uczennicy maga) wyrusza w podróż po Krainie, a w drodze przeważnie cierpi na migrenę. Niczym bohaterowie bajek, tylko zupełnie inaczej, ta trójka stawia czoła wyzwa-

niom godnym herosów.

Książka dla czytelnika dorosłego lub posiadającego certyfikat znajomości łaciny podwórkowej!

Mistrz Haxerlin i Thuz z miejsca polubili Sodiego. Idealny towarzysz podróży, bazarz, mitoman i drań w ich stylu! – Jacek Wróbel, autor serii *Haxerlin*

PIERWSZY TOM SERII BAJKI KRASNOLUDÓW



[Kup książkę](#)



CZAROWNICA MAŁGORZATA LISIŃSKA

Sodi, Likal i Yasa zmierzają wprost do paszczy lub łożnicy Smoczycy. Właściwie tylko ten ostatni ma szansę na to ostatnie. Krasnoluda i uczennicę Pierwotnego czeka złejszy los.

Nasi bohaterowie umilają sobie drogę, popadając w liczne tarapaty, grając w „jakie to przekleństwo”, testując wytrzymałość krasnoluda na trunki i wytrzymałość pozostałych na krasnoluda. Słowem – bawią się wyśmianicie, jak to tylko oni potrafią.

Wszystko do czasu, kiedy na granicy z Itru sprawy nadmiernie się komplikują i przed wędrowcami stają kardynalne pytania. Czy Yasa poświęci najskrytsze marzenia dla podopiecznej? Czy Likal okiełzna drzemiacą w niej moc? Czy Sodi z pomocą Tropicieła ochroni przyjaciół?

„Czarownica” to kontynuacja bestsellerowego „Tropicieła” i powrót do świata znanego nam ze słuchowiska „Tropiciel opowiada”.

DRUGI TOM SERII BAJKI KRASNOLUDÓW



[Kup książkę](#)



ZAKONNA MAŁGORZATA LISIŃSKA

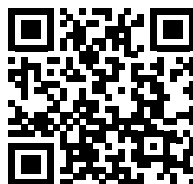
Dawno, dawno temu... *

Ostatni żyjący Pierwotny ukrył się w grocie na krańcu świata i tam czuwa nad przeklętą przez siebie kochanką. Sodiemu leśna wróżka przepowiedziała śmierć, a krasnolud, choć z natury sceptyczny, leśnym wróżkom ufa bezgranicznie. Zmierza zatem do Yasy po ratunek.

Tymczasem Krainie grozi kolejna wojna domowa. W zasypanej śniegiem cichej gospodzie spotykają się przedstawiciele wszystkich inteligentnych nacji, by zapobiec przelewowi krwi.

Czy im się powiedzie? Jaka będzie w tym rola Sodiego i Yasy? Czy zdołają pokonać potężną czarownicę? I co najważniejsze, kim jest Rosa i o co chodziło leśnym wróżkom?!

* a przynajmniej przed przygodami opisanymi w Tropiciele i Czarownicy.





PETERKIN & BROKK:
KSIĘGA CZTERECH
GRZEGORZ GAJEK

Bycie niziołkiem w szeregach policji to nie jest bajka. Odo Peterkin przekonuje się o tym niemal każdego dnia służby. Znosi jednak uszczypliwe komentarze elfów, ludzi i krasnoludów, gdyż tym, co sprawia mu największą przyjemność, jest rozwiązywanie skomplikowanych zagadek kryminalnych.

Tuur Brokk jest na pierwszy rzut oka przeciwieństwem Peterkina. To uosobienie idealnego policjanta. Krasnolud, weteran wojenny, bokser i postrach przestępczego świata, jak również, o czym wie niewiele, poeta i niepoprawny romantyk.

Pierwszym wspólnym zadaniem Odon i Tuura jest wyjaśnienie tajemniczej śmierci znanego muzyka Viventa Rossiego. Na ich drodze staje armia ożywieńców, powołana do życia w czasach Wielkiej Wojny, magowie i wilkołaki, dziennikarze i eugenicy, a nawet, o zgrozo, dziewczki wszeteczne! A to bynajmniej nie koniec niespodzianek...

Z daleka detektyw Peterkin i śledczy Brokk przypominają najstynniejszą tandem literackich detektywów XIX stulecia z opowiadań Artura Conan Doyle'a. Kiedy jednak przybliżyć lupę, na plan pierwszy wychodzą nie podobieństwa, ale te wszystkie smakowite różnice, które sprawiają, że ich śledztwa są tak intrygujące.

Michał Cetnarowski, publicysta, redaktor Nowej Fantastyki





TANIEC MARTIONETEK
TOMASZ NIZIŃSKI

To nie jest kolejna książka o ratowaniu świata!

W tej rozgrywce stawka nie jest większa niż życie, a ludzkości nie grozi zagłada, lecz w najgorszym wypadku znaczne podwyższenie stóp procentowych.

Witaj w świecie, w którym demony są analfabetami, nekromanci nigdy nie trzeźwieją, a bohaterowie są zawsze gotowi ryzykować życiem. Cudzym.

Czarna Kompania, Podpalacze Mostów, Łowcy Kości i Siódmy Regiment z Erei to elita wśród najemnych kompanii.

Wypełniony barwnymi postaciami świat Siódmego Regimentu wciąga i nie wypuszcza do ostatniej strony. - **Marcin A. Guzek**, autor serii *Szare Płaszcz*

„Taniec marionetek” to najlepsza powieść fantasy od wielu lat. - **Arkady Saulski**, autor cyklu *Kroniki Czerwonej Kompanii*

Tak dobre, że czytałem na głos! - **Wojciech Masiak**, @Czyta Wojtek Masiak

PIERWSZY TOM SERII WYBLAKŁE SZTANDARY



[Kup książkę](#)

MARCIN A. GUZEK



KOMANDORIA 54
SZARE PŁASZCZE

KOMANDORIA 54
MARCIN A. GUZEK

Na rubieżach upadającego Imperium, w dowodzonej przez Olafa Komandorii 54, stacjonuje grupa nowicjuszy Zakonu Szarej Straży. Ten mały i nie-doświadczony oddział ma za zadanie egzekwować prawo i zapewnić osadnikom bezpieczeństwo. Nie będzie to jednak proste.

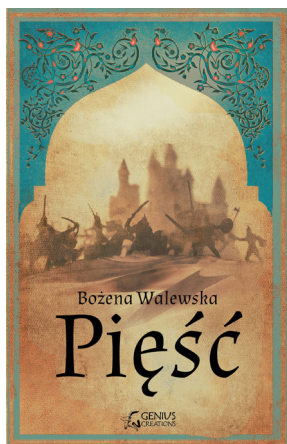
Na pograniczu schronienia szukają adepci zakazanych sztuk, przestępcy i zbiegli niewolnicy. Granicę przekraczają dzikie plemiona, a w łupieżczych wyprawach towarzyszą im potężni szamani i nadprzyrodzone istoty. Imperium wystawia przeciwko nim nie grupę rycerzy w lśniących zbrojach, a niedoświadczonych rekrutów pod wodzą zgorzkniałego weterana. Czy to może się skończyć inaczej niż pożogą i zgłiszczami, płaczem ocalałych i lamentem wziętych w niewolę?

Przyjemny mariaż historycznej wiedzy autora z fabularną lekkością, przyprawiony ostrymi żeleźcami toporów i świstem strzał. W sam raz by umilić deszczowe popołudnie. – Jacek Łukawski, autor Krew i stal, Grom i szkwał i Pieśń i krzyk

PIERWSZY TOM SERII SZARE PŁASZCZE



[Kup książkę](#)



PIĘŚĆ BOŻENA WALEWSKA

Gdy nadchodzą dni pogardy, nienawiści i krzywdy, a zło roznosi się jak zaraza, niszczy i odziera z godności, wtedy budzi się w zwykłych ludziach moc, która pozwala im wstać, choć czują, że nie dadzą rady unieść głowy, pozwala walczyć, choć każdy zadany cios wydaje się ostatnim.

Kal, potomek szacha, choć wydaje się słaby i niedoświadczony, z dnia na dzień musi wziąć odpowiedzialność za swój naród. Nair, spadkobierca korony Morovii, nie może już dłużej się ukrywać. Powinien przestać uciekać, a zamiast tego zebrać wokół siebie wszystkich zdolnych udźwignąć miecz, topór, a choćby i kij. Zwyczajny chłop z górskiej osady i samotna zielarka zaczynają odgrywać role, do których bynajmniej nie wydawali się stworzeni. Doświadczonego wojownika, którego życie zdążyło nauczyć, że nawet bohater cuchnie po śmierci i żadne poematy tego nie zmienia, również czeka nowe wyzwanie.

Oni i wielu innych muszą porzucić swoje domy, zostawić rodziny i ukochanych, zatknąć noże za pas, zacisnąć zęby i ruszyć, kiedy nadejdzie czas. Ktoś, kto im powie, że nie dadzą rady, łże! Bo choć czują się słabi, choć paraliżujący strach nieraz zajrzy im w oczy, to przecież mają moc – ona ich podniesie. Muszą tylko ją poczuć. W sobie i w innych. W słońcu i w deszczu. W snach i na jawie. Nawet w stracie.

Czy Ty wyruszysz z nimi w magiczną podróż?!



[Kup książkę](#)